

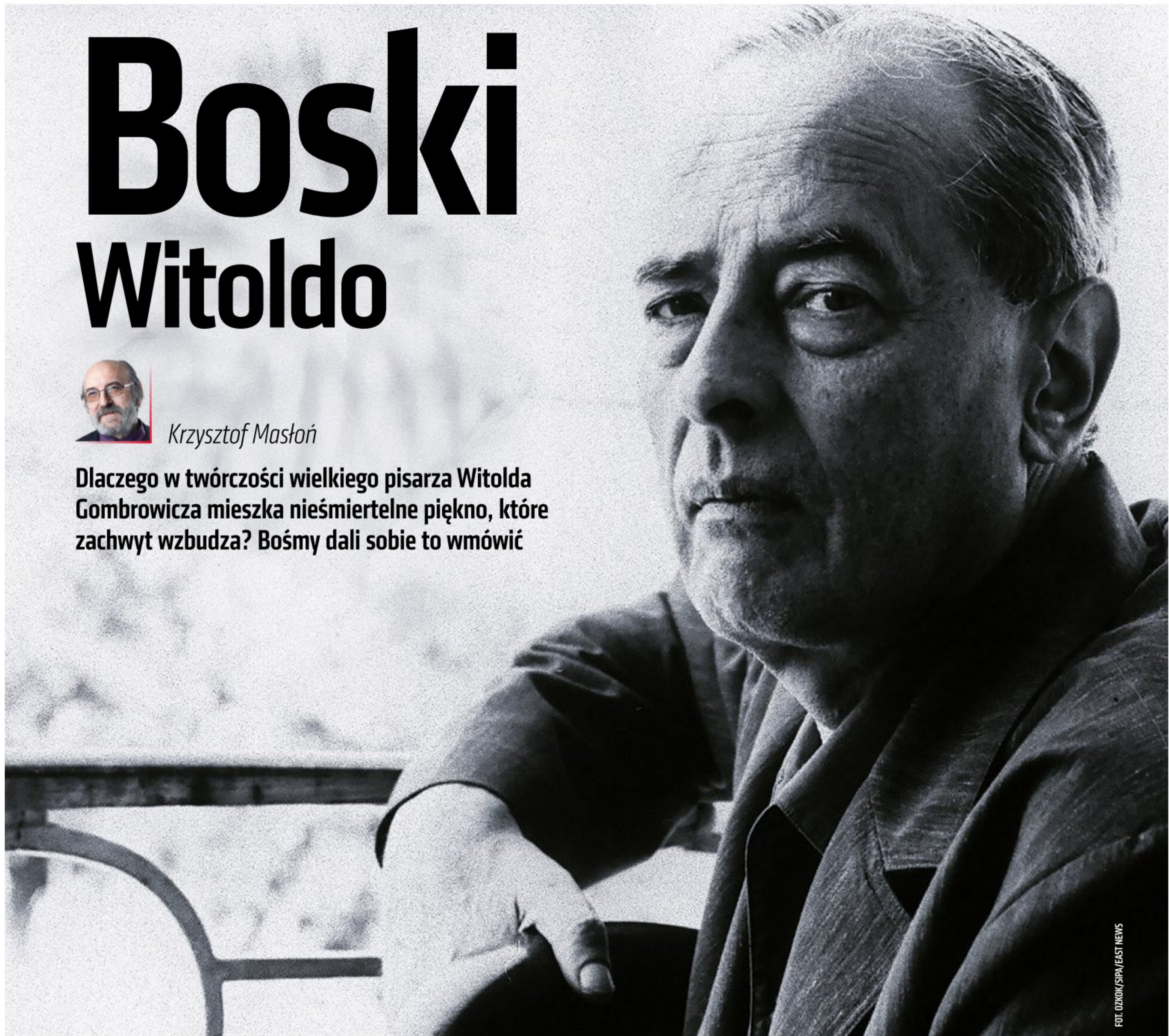


Boski Witoldo



Krzysztof Masłoń

Dlaczego w twórczości wielkiego pisarza Witolda Gombrowicza mieszka nieśmiertelne piękno, które zachwyt wzbudza? Bośmy dali sobie to wmówić



FOT. OZKOW/SIPA/EAST NEWS

Witold Gombrowicz zachwyca nas, bo wielkim pisarzem był. Już w przedwojennej Warszawie spełniał po temu wszelkie warunki: jako dobrze urodzony, stosunkowo młody człowiek, uchodzący za przystojnego, słynący z ostrego języka, co było dowodem wybitnej inteligencji, posiadacz swojego stolika w Ziemiańskiej, autor powieści niezrozumiałej wprawdzie, za to zagadkowo

zatytułowanej „Ferdydurke”, ateusz, no i – jak się wówczas mawiało – pederasta. Po wojnie na emigracji lista jego tytułów do chwały znacznie się wydłużyła, stał się bowiem autorem w kraju zakazanym, a na uchodźstwie wyklętym, antykomunistą, weredykiem uświadamiającym rodakom całą ich małość, odnowicielem literatury ojczystej, wreszcie „żelaznym” kandydatem do Nagrody Nobla, której oczywiście nie otrzymał. Dość było tego, by paść

przed nim na kolana, uznając za geniusza, o czym on sam przekonany był od zawsze.

Ponieważ Witold Gombrowicz nie lubił i nie cenił ludzi, którzy nie lubili i nie cenili Witolda Gombrowicza, jego – kiedyś powiedzielibyśmy – miłośnicy, a dziś – fani, których po śmierci ich idola w 1969 r. z dnia na dzień przybywało, zaczęli się prześcigać w jego fetowaniu. Aż w samym apogeum tej fety, w 2004 r., roku gombrowiczowskim obchodzonym w setną



rocznicę urodzin twórcy „Trans-Atlantyku”, kobieta przytomna, czyli Małgorzata Szpakowska, tyleż otwarcie, ile retorycznie spytała: Kto z nas w ostatnim roku choć przez chwilę czytał Gombrowicza dla bezinteresownej przyjemności?

Stwierdziła również, że „Ilość nas przerosła. Już dwadzieścia lat temu, kiedy Gombrowicz był pisarzem półlegalnym, obecnym na scenach, lecz nieobecnym w druku, kiedy jego książki przemycano się z Paryża lub powiewało w podziemiu – już wtedy zaczynał być pisarzem przeinterpretowanym. Już wtedy trudno było napisać o nim coś nowego, nie powtarzając cudzych opinii, a nawet zapoznać się z tymi wszystkimi opiniami, przedrzeć się przez stosy literatury egzegetycznej, zapanować, przynajmniej z grubsza, nad całością”. I rzeczywiście, jest Gombrowicz jednym z tych autorów, do którego liczba komentarzy i interpretacji wielokrotnie przekroczyła rozmiarami jego twórczość. Jego dramaty grane są w teatrach na okrągło, a że napisał ich niewiele [trzy: „Ślub”, „Iwonę, księżniczkę Burgunda” i „Operetkę”, a jak ktoś się uprze, to i pozostawioną w rękopisie „Historię” – przyp. K.M.], to i jego prozę przysposabia się na scenie, co uczyniono w Polsce dziesiątki razy, z mizernym rezultatem artystycznym. Podobnie nie wzbudziły oczekiwanego zachwyty trzy ekranizacje jego powieści, choć do reżyserii ich brali się, po kolei: Jerzy Skolimowski „Ferdynand” (1991), Jan Jakub Kolski „Pornografia” (2003) i Andrzej Żuławski „Kosmos” (2015). Niewykluczone, że nic z tego sensownego nie wyszło, bo wyjść nie mogło.

Ciekawe jest natomiast, że na solidną biografię pisarza czekać musieliśmy aż do 2017 r., gdy Klementyna Suchanow, jakoś w tym samym czasie wsławiona rzucaniem jajkami w samochody Kancelarii Prezydenta RP, wydała dwutomowe dzieło „Gombrowicz. Ja, geniusz”. Oczywiście każdym zdaniem książki potwierdziła genialność swego bohatera, nie powstał jednak żywot świętego, czego można było się obawiać, znając multum innych pomniejszych opisów życia Gombrowicza i jego twórczości, która ponoć zachwyca wszystkich. Z wyjątkiem Gałkiewicza, przepraszam za pomyłkę – Mackiewicza.

SIĘ JEST NIKT

Cóż, Józef Mackiewicz nie był skory do zachwyty. Był zdania, że jedynie

prawda jest ciekawa, i dlatego, wprawdzie z charakterystyczną dla siebie przesadą, twierdził, że „Gombrowicz nie umiał pisać i nie miał nic do napisania. Zastosował więc chwyt, jakiego używają malarze, którzy nie umieją malować i nie mają nic do namalowania: ukrycie treści, a raczej jej braku, pod niezrozumiałą dla otoczenia formą. Czym mniej treści, tym bardziej niezrozumiała forma. Trzeba się tylko nie obawiać absurdu. Czym większa rozpiętość pomiędzy rozumieniem i utworem, tym większym durniem okazuje się czytelnik, tym większym geniuszem autor utworu. Bo »łatwiznę« potrafi zrozumieć każdy. »Rzeczy trudne« natomiast – wyłącznie elita umysłowa. Jest to formuła prosta i tym razem zrozumiała. A któż chce być durniem!”.

Józef Mackiewicz nie był skory do zachwyty. Twierdził, że Gombrowicz nie umiał pisać i nie miał nic do napisania

Autor „Ferdynanda” był, według niego, pisarzem „przecenionym. Źródłem tej przeceny stała się duża reklama, którą Gombrowicz potrafił sobie wyrobić w międzynarodowych sferach literackiego establishmentu, czyli kumoterstwa popieranej przez pewne koła amerykańskie tzw. awangardy. Zbliżonej lub czasem identycznej z pojęciem »Lewicy Intelktualnej«, która w dzisiejszej Demokracji w odniesieniu do spraw intelektualno-artystycznych spełnia, mniej więcej, tę funkcję, którą za czasów carskich spełniała Prokuratura św. Synodu w odniesieniu do spraw Cerkwi prawosławnej. Czyli miarodajną funkcję. Nasi ojcowie tego rodzaju manipulacje w dziedzinie ducha nazywali z przekąsem: »kazionszczina«, w tamtych, dawnych czasach, gdy awangardy nie były jeszcze subsydiowane przez kancelarie państwowe. Rozgłos i powodzenie, jakie udało się Gombrowiczowi osiągnąć, w tych rządzących dziś Duchem Czasu, literaturą i sztuką, najbardziej miarodajnych sferach, zaimponowały rodakom”.

No, może nie wszystkim, choć po dziś dzień nawet ci nieliczni, którzy zachowy-

wali umiar w entuzjazmie wobec tego, co Witoldowe pióro jego na świat wydało, a i co on sam orzekł albo i nie orzekł, plackiem padali przed gombrowiczowskością. Bo też niezależnie od wszystkich sensownych uwag krytycznych na temat jego poszczególnych utworów, a przede wszystkim „Kronosa”, zdaniem np. Andrzeja Horubały jest Gombrowicz największym pisarzem XX w. I już. A jego „Dziennik” to „literackie arcydzieło, niezwykle kunsztownie zorganizowana wypowiedź artystyczna, nowatorska narracyjnie, arcymistrzowsko wykorzystująca język polski, przynosząca kapitalne refleksje o świecie, literaturze, Polsce, egzystencji...”.

Czy naprawdę musimy bić pokłony przed „Dziennikiem”? Wojciech Tomczyk, który w swoim pisarstwie zmagił się z Gombrowiczem, i to wielokrotnie, ze szczególnym uwzględnieniem „Ferdynanda”, sławny Gombrowiczowski zapis: „Poniedziałek – ja, wtorek – ja, środa – ja, czwartek – ja” zderzył z inną znaną „deklaracją Ideową” – Edwarda Stachury: „Czas umarł na czas. Ja umarło na ja. Nie ma ja. Się jest. Się jest się. Się jest duch. Się jest nikt” i dopowiedział (w „Teologii Polskiej Co Tydzień” 37/2016) co następuje: „Te dwa cytaty opisują, nawet z pewnym naddatkiem, horyzonty i strategię współczesnej polskiej prozy. Przy tak określonych celach i środkach nie są potrzebne żadne lekarstwa, nawet aspiryna. Nie mówiąc o pigułkach Murti-Binga. Przecież samym sobą można się zabawiać całe życie, a słowem się wysławiać drugie tyle”.

NIEZDROWE POLSKIE OPARY

„Czy Polak – pytał Gombrowicz w 1947 r. w liście do »Wiadomości« – nie jest obciążony dziedzicznie Polską, to znaczy chorą przeszłością narodu i jego nieustannym umieraniem? Czy wobec tego, jeśli Polak pragnie być człowiekiem pełnowartościowym [...], nie powinien on wypowiedzieć służby tej polskości, która go dzisiaj określa”. Po latach, w wywiadzie dla Wolnej Europy, uściślił, że kiedy pisze książkę, to „nie jest Polakiem ani Chińczykiem. Ja jestem Gombrowicz” i zupełnie nieważne jest, gdzie mieszka. Kosmopolityzm niby nic nowego, ale już wyrzekanie na kulturę polską, jakoby „zakorkowaną dramatem



■ utraty niepodległości, sprowadzoną do lokalnych nieszczęść, pozwala domniemywać, że polskość generalnie była dla niego problemem.

I to bynajmniej nie od roku 1939, gdy na statku „Chrobry” przypłynął do Argentyny, dzieląc kajutę z innym polskim pisarzem, Czesławem Straszewiczem, później autorem świetnej książki „Turysci z bocianich gniazd”. Ten, na wieść o wojnie, powrócił do Europy, wstąpił do Wojska Polskiego, był u gen. Maczka, podczas gdy Gombrowicz wtedy właśnie wybrał emigrację. Ale – jeśli wierzyć temu, o czym pisze we „Wspomnieniach polskich”: To „rok 1920-ty uczynił ze mnie istotę nie taką jak wszyscy, wyodrębnioną, żyjącą na marginesie społeczeństwa [...]”. Ten rozbrat z gromadą, z narodem, zmuszający do szukania własnych dróg i życia na własną rękę, począł się dla mnie w owym pamiętnym roku bitwy warszawskiej. [...] miałem uczucie, że jestem sam, przeciw wszystkim, że trzeba mi się zamknąć w sobie i nikomu nie dawać dostępu”.

Miał wtedy zaledwie 16 lat i naprawdę trudno było mieć do niego pretensje, że do wojska się nie garnał. Jedni mają w sobie zadatki orle, inni nie. Wiele lat później – w 1953 r., bogatszy o doświadczenia – rozwinie temat w przedmowie do „Trans-Atlantyku”: „Sądzę, że jest zupełnie możliwy taki stosunek do narodu, w którym naturalne nasze do niego przywiązania, ba, nieuniknione i od naszej woli niezależny z nim związek, zostałyby uzupełnione odczuciem narodu jako siły niebezpiecznej, przed którą należy mieć się na baczności. Musielibyśmy zrozumieć, że naród (podobnie jak każda zbiorowość) może nas paczyć, i to w najgłębszej naszej istocie. Powinnibyśmy tak się urządzić psychicznie, aby być jednocześnie w narodzie i poza narodem – a nawet ponad narodem. Poza i ponad – aby móc stwarzać sobie naród na obraz i podobieństwo nasze”.

Nasze, czyli jakie? Z którego zniknęłyby „niezdrowe opary polskiej tradycji i polskiej sztuki. I ten właśnie punkt był dla mnie najtrudniejszy do przełknięcia. Romantyzm. Piłsudski też był romantykiem, deklamującym Słowackiego, który mawiał o sobie »ja jestem potrzebny na czas burzy« – typowy eksponent kreso-

„Niebosięzna zarozumiałość, przechodząca w poniżającą próżność, arogancja, dokuczliwość, pogarda dla wszystkich i wszystkiego były zbyt przesadne, zbyt jaskrawe, by nie były przybraną maską, rodzajem kompensaty za niepewność siebie” – pisała o Gombrowiczu Stefania Kossowska z londyńskich „Wiadomości”

wego mistycyzmu wydawał się i niebezpieczny, i podejrzany”.

LUDZIOM GŁOS SIĘ ŁAMIE

Nieliczni są już ci, którzy mieli styczność z Gombrowiczem, chcąc nie chcąc, opieramy się więc na wspomnieniach ludzi nieżyjących, często od dawna. A ci zapamiętali go takim, jakim był naprawdę. „Całe jego zachowanie – pisała Stefania Kossowska, ostatnia redaktorka londyńskich »Wiadomości« – było nieustanną grą, często dla otoczenia męczącą ponad wytrzymałość najcierpliwszych. Jego słynne miny to były nie tylko grymasy, robione do lustra czy dla towarzyskiej zabawy. Było to permanentne wykrzywanie się całemu światu. Niebosięzna zarozumiałość, przechodząca w poniżającą próżność, arogancja, dokuczliwość, pogarda dla wszystkich i wszystkiego były zbyt przesadne, zbyt jaskrawe, by nie były przybraną maską, rodzajem kompensaty za niepewność siebie”.

Wacław A. Zbyszewski wspominał, że sławny redaktor tychże „Wiadomości” Mieczysław Grydzewski nie znosił Gombrowicza i uważał go za „pretenjonalnego nudziarza bez cienia wiedzy i talentu”. Samego Zbyszewskiego „trochę zainteresował pierwszy rozdział jego »Trans-Atlantyku«, gdym go przeczytał w »Kulturze«. Rozmowa posła RP z autorem była oczywiście ściągaczką z »Brideshead Revisited« Evelyn Waugh, ale miała pewien posmaczek oryginalności, pewne ciekawostki formy. Ale potem to się beznadziejnie powtarzało. Gombrowicz był człowiekiem bez talentu pisarskiego, tzn. jego postaci były zawsze ściśle papierowe, nigdy nie żyły, nigdy nie ruszały się, wygłaszały tylko pewne teorie nudne, mętne: ziarno prawdy, a więc że Polacy grzeszą megalomanią i wierzą, że wszyscy ich kochają, było ukryte pod grubym pokładem osobistego zarozumiałstwa,

arogancji, złych manier, wielosłowie, zwykłego grubiaństwa”.

Kiedy Gombrowicz po swojej argentyńskiej emigracji przyjechał do Europy, pierwsze kroki skierował, naturalnie, do Maisons-Laffitte, do swojego najważniejszego wydawcy, którego wcześniej nie widział na oczy, a spośród mieszkańców domu „Kultury” osobiście sprzed wojny znał jedynie Józefa Czapskiego. Spotkanie ponoć tak wyglądało: „Ukazuje mi się Giedroyc. Ja się ukazuję Giedroycowi.

On: – Cieszę się, że pana widzę... Ja: – Jerzy, bój się Boga, chłopie, nie będziesz przecie mówił »pan« komuś, z kim od lat jesteś w listach na »ty«. On: – Hm... hm... a tak... no, cieszę się rzeczywiście, że przyjechałeś. Ja: – Co za domek! Przyjemnie spojrzeć! On: – Dostyc przestronnie i wygodnie, dobre warunki pracy. Ja: – Jerzy, słowo honoru ci daję, wyskoczyłem już na Mickiewicza, o poza dyskusją, ludziom głos się łamie, gdy mówią ze mną przez telefon. On: – Hm... ja Mickiewicza nie bardzo lubię...”

Nie minie wiele czasu, gdy Gombrowicz – po wykorzystaniu berlińskiego stypendium – zapuka ponownie do drzwi w Maisons-Laffitte, Giedroyc przyjmie go wprawdzie, ale tylko na tydzień, zdecydowanie odmawiając dalszej gościny. Poważnie strapionego pisarza, który naprawdę nie wiedział, gdzie się podziać, uratował dopiero Jeleński, lokując Gombrowicza w niedalekim od Paryża opactwie Royaumont. To tam spotka kanadyjską studentkę, Ritę Labrosse, która zostanie towarzyszką jego życia, i z którą pół roku przed śmiercią się ożeni.

Uściślijmy to – literaturze polskiej, w której przed wojną zdążyło zabłysnąć „Ferdynand”, przywrócił Gombrowicza Jerzy Giedroyc: Instytut Literacki wydający jego książki i „Kultura”, gdzie drukował pisarz sławny potem „Dziennik”. A do literatury światowej wprowadził go Konstanty Jeleński, zakochany w nim i w jego pisarstwie, a dysponujący wpływami,



o których innym się nie śniło. Nie tylko dlatego, że tak samo jak Gombrowicz był homoseksualistą. Ale dlatego też.

CO SIĘ KOMU NALEŻY

W 2012 r., w 75-lecie wydania „Ferdurke” (w Roju”, ze wstępem i z okładką Brunona Schulza), prof. Józef Olejniczak, pisząc o Gombrowiczu, nadmienia, że Klementyna Suchanow „bardzo szczegółowo i precyzyjnie wyjaśnia tajemnice z biografii argentyńskiej, pokazując jednak niektóre dramaty autora »Ferdurke«, także homoerotyzm, bo w jego przypadku to był dramat; ukazuje również pisarza, który bieduje, który jest zagrożony, który głoduje”. Bez przesady. Józef Łobodowski uważał, że „Gombrowicz miewał w Argentynie ciężkie chwile, ale to jeszcze nie była prawdziwa nędza. Jerzy Cieniewicz, który przez trzy lata pracował razem z nim w Banco Polaco S.A., w dość brzydkim wspomnieniu („Kierunki” z 21 czerwca 1970 r.) pisze, że Gombrowicz stale domagał się podwyżki, uważając swoją pensję za głodową. Był drugim sekretarzem, właściwie

chodziło o synekurę, bo, rzecz prosta, nie miał pojęcia o bankowości. Trochę to sobie trudno wyobrazić, żeby drugi sekretarz nawet podrzędnego banku miał przymierać głodem. Gombrowicz znał swoją cenę i uważał, że należy mu się znacznie więcej. A cała reszta to buntownicza legenda sfabrykowana za łaskawym zezwoleniem mistrza przez entuzjastów”.

Z mistrzem w tym samym banku pracował także Kazimierz Rytteł, który rejestrował jego rozmaite nietypowe zachowania i wręcz zdumiewające wypowiedzi. Ot, takie z roku 1953, które cytuję za Klementyną Suchanow:

„[...] Gombrowicz, na skutek mojej radości z beznadziejnego stanu zdrowia Stalina: »Oj, wy, Polaczki, Polaczki, nie wiecie, co świat i ludzkość traci z odejściem tego największego geniusza«.

Powołuje się na notatki (obrzydliwe) z prasy i rozczuła się, że miliony stoją na mrozie i opłakują niechybną śmierć tego najszykaradniejszego dyktatora.

Gombrowicz doprowadza mnie do szaleństwa, rozwodząc się o wielkości i moralności Stalina”.

Że to celowe prowokacje? Ależ oczywiście. Tylko że czy z tego powodu mamy przejść nad nimi do porządku dziennego?

CZŁOWIEK FERDYDURKICZNY

Cały pobyt Gombrowicza w Argentynieznaczony jest jego przygodami homoseksualnymi. „Po latach pobytu tam w swym najbardziej twórczym okresie nie zdołał wejść do argentyńskiego świata literackiego – pisała Stefania Kossowska. – Nie znali go ani się nim nie interesowali poważni pisarze jak Cortazar, jak Borges, który po śmierci Gombrowicza odmówił widzenia się z Ritą Gombrowicz, a gdy nie dała za wygraną i w końcu do niego dotarła, powiedział jej, że nic Gombrowicza nie czytał, spotkał go raz czy dwa i nic nie może o nim powiedzieć. Jego książki, choć umiał wytwarzać koło nich atmosferę sensacji, nigdy nie miały tam powodzenia. Recenzje, wymuszone towarzyskimi stosunkami, były niechętne, książki rozchodziły się źle, głównie wśród grona znajomych i przyjaciół. Niesprzedane egzemplarze »Ferdurke« dwóch młodych pisarzy wywiozło na Kubę, aby tam je rozdać wśród znajomych”.